

Granda w sopockim **Grandzie** • Do czego **Lewy ma prawo** • **Końskie** po wyborach
Ludzie **Nawrockiego** • **Sociale** zmieniają politykę • Komu **Temu** • **Iran** w ogniu

POLITYKA.PL

POLITYKA

KULTURA+ Przewodnik na lato



CZY TO SIĘ JESZCZE DA POSKŁADAĆ?

Wydanie w sprzedaży do 24.06.2025

ISSN 0032-3500

25>



9 770032 350503

ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI

OJCZYZNA DON KICHOTA



KUP TERAZ



W sprzedaży



148
stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe – subskrypcja polityka.pl/cyfrowa

Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny



18

Nowa czwarta władza
– social media

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Polityka

- 10 Rafał Kalukin
Kolejne rozdanie Tuska
- 14 Anna Dąbrowska
Komandosi Nawrockiego
- 18 ROZMOWA POLITYKI
Jak media społecznościowe przeorganizowały politykę i wybory, opowiada **Krzysztof Izdebski** z Fundacji Batorego

Spółeczeństwo

- 22 Marcin Kołodziejczyk
Zasłyszane w Końskich, czyli uśrednionej Polsce powiatowej
- 26 Czego uczyć młodych wyborców, mówi dr **Jędrzej Witkowski**, prezes Centrum Edukacji Obywatelskiej
- 29 Marcin Piątek
Brudne gry w polskiej piłce
- 32 Zbigniew Borek
Wypadek na autostradzie A1: czy po dwóch latach ruszy proces Sebastiana M.?
- 35 Ewa Wilk **Zawód psychoterapeuta – spory o projekt ustawy**
- 38 Juliusz Ćwieluch **Kosmiczna historia naszej stacji polarnej**

Rynek

- 42 Marek Świerczyński
Po co nam Apacze

- 45 Joanna Solska **Jaka płaca minimalna**
- 50 Cezary Kowanda **Temu, Shein i AliExpress: Chińczycy podbijają Europę**

Świat

- 58 Agnieszka Lichnerowicz UKRAINA
Wojna i miłość
- 61 Tomasz Zalewski USA
Czy Nawrocki obłąkawi Trumpa
- 64 Paweł Walewski USA
Robert F. Kennedy jr – kontrowersyjny sekretarz zdrowia

Nauka/projektpulsar.pl

- 66 Marek Ścibior
ArXiv, wielkie archiwum nauki
- 69 Agnieszka Krzemińska
Jak naprawdę wyglądały wyprawy wikingów

Historia

- 72 Ryszarda Socha
Granda w sopockim Grandzie
- 75 Tomasz Targański **Co łączy, a co dzieli Polskę i Hiszpanię**

NAGRODA
ARCHITEKTONICZNA
POLITYKI

- 84 Relacja z gali

KULTURA+

86 Kalendarium 88 Festiwale objazdowe
90 Morrissey: kłopot z ikoną 92 Baltic Opera Festival: spektakle o samotności
93 Zwiedzanie z gwiazdami 94 Skrzyżowanie Kultur: w rytmach czterech kontynentów 95 Lubelskie Inne Brzmienia: otwarty miejski festiwal 96 Gdyniński Teatr Muzyczny: brawurowi „Producenci” 97 Muzyczny powrót „Króla Iwa” 97 Sztuka animacji 98 Młoda kolekcja mBanku 99 Muminki po polsku 100 Margarete Schütte-Lihotzky – rewolucjonistka architektury 101 Tora – święte arcydzieło 102 Edukacja antykiem

104 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 110–113 • Spacery dźwiękowe
• Okrzyki z TikToka
• O dzwonie i przydzwanianiu
• Piłkarki w Lucernie
• Sezon na botwinę

Stałe rubryki

- 4 Przypisy • 6 Ludzie i wydarzenia
• 20, 21, 108, 114 Galeria POLITYKI
• 78 Afisz • 105 Passent • 106 Lis
• 107 Hartman • 108 Mizerski
• 109 Do i od redakcji
• 114 To jeszcze nie koniec



Przełom na raty

Mariusz Janicki

Pierwsza część nowego otwarcia władzy za nami, na następne trzeba poczekać kolejne tygodnie. Tak jak się spodziewano, premier Tusk bez problemów otrzymał wotum zaufania. W Sejmie podkreślał, że wciąż ma udzielony dwa lata temu mandat do rządzenia, ma większość sejmową i wszystkie uprawnienia władzy wykonawczej – to było skierowane wyraźnie do elekta Nawrockiego. Będzie powołany rzecznik rządu (podobno „waga ciężka w polityce”), a w lipcu i to chyba pod koniec (środek wakacji) rekonstrukcja gabinetu, w tym „nowe twarze” (więcej o exposé i sytuacji w obozie władzy na s. 10). Przemówienie przyjęte z mieszanymi odczuciami, oficjalnie w koalicji dość przychylnie, bo Tusk uwzględnił część postulatów partnerów, choć bez szczegółów. Jednak już w komentarzach nawet najtwardszych antypisowców słychać było narzekania, że nie pojawił się żaden przełomowy koncept, zabrakło nowej opowieści, że znowu są tylko luźne obietnice.

Ale też ujawnił się front obrony premiera, emocjonalne apele, aby nie ulegać przekazowi „Dymisja dla Tuska”, bo ludziom Kaczyńskiego chodzi o jak najszybszy powrót do władzy i wielką zemstę. Ponadto nie wiadomo jeszcze, jak się rozwinie i jaką będzie miała siłę rażenia nowa afera taśmowa z nagraniami Tuska, Giertycha, być może innych.

Tak czy inaczej, Donald Tusk stanął przed najtrudniejszym zadaniem w swojej politycznej karierze. Przykłady z historii III RP nie są pocieszające. Dotąd rządy koalicyjne, które składały się z więcej niż dwóch partii, zawsze upadały przed końcem sejmowej kadencji i odbywały się przedterminowe wybory. Tak było w 1993 r. z rządem Hanny Suchockiej i podobnie w przypadku gabinetu Jarosława Kaczyńskiego w 2007 r. Za pierwszym razem obóz rządzący był po prostu potwornie skłócony, za drugim – prezes PiS sam wykończył swoich koalicjantów. A teraz nie chodzi przecież tylko o przetrwanie do 2027 r., ale o utrzymanie władzy po kolejnych parlamentarnych wyborach. Do tego potrzeba zaś wstrząsu, żadne kosmetyczne zmiany nie pomogą.

Po wyborach w 2023 r. wydawało się, że Platforma i sam Tusk zrozumieli, na czym polega nowa polityka, ale szybko ujawniły się dawne przypadłości, „znikanie” premiera, marna aktywność ministrów, brak politycznych konsultacji, kompletne niezainteresowanie komunikacją społeczną i stanem wizerunku władzy. Partia Tuska często robi wrażenie ospałej, niezgułowanej, a przy tym aroganckiej. A czasy się zmieniły. Osiem lat rządów PiS, poza psuciem demokratycznego systemu, co się może kiedyś uda jeszcze naprawić, przyniosło inne zmiany, już

chyba nieodwracalne. Chodzi o sam sposób uprawiania polityki: rząd staje się permanentnym sztabem wyborczym, a rządzenie to nieustanna kampania, toczona całodobowo przy pomocy nowoczesnych instrumentów, przede wszystkim w sferze cyfrowej. Polityka informacyjna rządu i Platformy była dotąd zaprzeczeniem tych metod, a kampania Trzaskowskiego pokazem starożytnej amatorszczyzny. To właśnie konserwatywne, niby „zaściankowe” ugrupowania okazują się w tej dziedzinie znacznie sprawniejsze, a ich polityczni marketingowcy bardziej technologicznie zaawansowani. Wpływ internetowej propagandy PiS i Mentzena zwłaszcza na młodych mężczyzn okazał się decydujący o wyniku wyborów prezydenckich; w ich wypowiedziach, np. w bardzo interesującym programie „Czarno na białym” TVN24, było słychać dosłowne kalki z prawicowych przekazów.

Do tego prawicy sprzyjały radykalizacja i postępujące uproszczenie przekazów w mediach społecznościowych, kultura obrazkowa, emocjonalna, skrótowa brutalność, niechęć do niuansów i różnych punktów widzenia. Kolejna awantura Grzegorza Brauna, który zaatakował wystawę środowisk LGBT w Sejmie, miała w internecie milionowe zasięgi i mnóstwo pozytywnych komentarzy (a jego Korona wzrosła w ostatnim sondażu opinia24 do 6,9 proc.). Strona liberalna musi się zatem zmierzyć z ogólniejszym problemem – jak swoje wartości dostosować do takich trendów, tak aby nie utracić przy tym ich istoty (więcej o roli nowych mediów w polityce i kampaniach na s. 18).

Jeśli teraz obóz władzy jakoś się ogarnie, a ustawy, nawet niepodpisane przez Nawrockiego, zaczną funkcjonować w zbiorowej świadomości, wciąż pozostaje kwestia zasadnicza: jak ta koalicja ma wygrać najbliższe wybory. Kaczyński dostał butlę z tlenem w postaci rosnącej w sondażach Konfederacji. Nawet jeśli starą metodą „na skorpiona” będzie zwalczał prawicową konkurencję, ma z kim w przyszłości stworzyć większościową koalicję w Sejmie. Tusk takiego rezerwowego zbiornika nie ma, ponieważ „przystawki” spadły do poziomu kilku procent. W takiej sytuacji sama Platforma musiałaby mieć ze 45 proc. poparcia, żeby myśleć o samodzielnym zwycięstwie, a nic na to nie wskazuje.

Może zatem okazać się konieczna w 2027 r. wielka koalicja wyborcza zbierająca elektorat Trzaskowskiego z ostatnich wyborów, a argumentem byłoby odwrócone hasło prawicy z ostatnich wyborów, czyli tym razem: „nie pozwolić PiS na domknięcie systemu”. Dlatego Tusk nie ma chyba innego wyjścia niż pójście na frontalne starcie z Nawrockim, licząc na jego zużywanie się, kolejne kompromitacje, ukazanie nowego prezydenta jako wetującego wszystko awanturnika, a PiS jako jego promotora. Tym bardziej że sam Nawrocki mówił, że chce jak najszybciej doprowadzić do upadku obecnego rządu, a z Czarnkiem jako szefem kancelarii ten cel stałby się jeszcze bardziej oczywisty (więcej o ekipie nowego prezydenta s. 14).

Ale zasadnicze pytanie jest inne: czy sam Tusk wierzy jeszcze w swój plan awaryjny i możliwość zwycięstwa za dwa lata, czy też – jak w 2014 r., kiedy wyjechał do Brukseli – znowu uważa, że wiatry się zmieniły i nic już na to się nie poradzi. Tu sporo się wyjaśni w najbliższych miesiącach, po działaniach, nie słowach. Nie można też wykluczyć scenariusza, że w pewnym momencie przed wyborami Tusk odda premierostwo komuś innemu. W każdym razie ścieżka do sukcesu jest kręta i wąska, a do przepaści prowadzi autostrada. Gdyby Tusk wybrnął i z takiej opresji, już więcej nic by nie musiał.

Klasyczna podróż pociągami przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Zapraszamy na wyjątkową podróż pociągami po Szwajcarii – kraju z najlepszą siecią kolejową w Europie. Zwiedzimy trzy regiony: francuskojęzyczne Montreux, alpejskie okolice St. Moritz i włoskojęzyczne Lugano. Przejedziemy słynnym Ekspresem Lodowcowym oraz Bernina Express, podziwiając spektakularne górskie krajobrazy, jeziora i alpejskie wioski. Niezapomniane widoki i komfort podróży gwarantowane!

4,9
5

7 dni
Wylot z Warszawy
30/08 2025

13.498,-



4,9
5



Australia i Nowa Zelandia

Zachód słońca przy Uluru (Ayers Rock), kultowy budynek opery w Sydney, tańce Maorysów, koala, parki narodowe, fiordy, lodowce, gorące źródła i cudowna przyroda.

Podczas tej fantastycznej podróży odwiedzimy dwa największe miasta Australii: Sydney i Melbourne, zbliżymy się maksymalnie do dzikiej przyrody wypatrując koali i pingwinów na wyspie Philip, a w środku australijskiego interioru, podczas kolacji pod gołym niebem przy słynnej skale Uluru przeżyjemy absolutnie magiczny zachód słońca.

W Nowej Zelandii czeka nas przejazd jedną z najpiękniejszych tras kolejowych na świecie, wizyta w wiosce Maorysów z tradycyjną kolacją oraz wspaniałe widoki przy fiordzie Milford, na lodowcu Fox, w wąwozie Hokitika, na obszarach termalnych Te Puia oraz kolacja pożegnalna na 52 piętrze Sky Tower w Auckland.

21 dni | Wyloty z Warszawy 12/11 2025, 11/03 2026 | od 37.898,-



4,8
5

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Przywitaj Nowy Rok w urokliwej Lizbonie, spacerując wąskimi uliczkami i podziwiając wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO przy dźwiękach muzyki fado.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Dz. 2 Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. Dz. 3 Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. Dz. 4 Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Wieczorem opcjonalnie koncert noworoczny (dodatkowo płatny). Dz. 5 Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2025 | 4.998,-



Kto za to zapłaci

Polska Fundacja Narodowa to projekt o niezwykłej żywotności. PFN dalej działa, choć w jej sprawie toczy się kilka postępowań prokuratorskich. I na dodatek dalej domaga się pieniędzy od spółek Skarbu Państwa, które zostały „namówione” do jej finansowania jeszcze za czasów rządów premier Szydło. A gra toczy się o dziesiątki milionów złotych. Nowe zarządy spółek, które ufundowały

PFN, już w zeszłym roku zbuntowały się i nie chciały zapłacić należnych składek w wysokości 3,5 mln zł rocznie. Przyciśnięte kolanem, w większości się jednak ugięły. Jak nieoficjalnie można usłyszeć: żeby nie iść na wojnę z rządem. Miały też nieformalną obietnicę, że więcej już płacić nie będą. Tak się jednak nie stało.

Fundacja nie dość, że dalej funkcjonuje, to swoich darczyńców straszy pozwami za brak przelewów. To akurat można zrozumieć, bo władze PFN realizują jej interesy. Jednak straszone pozwami spółki nie rozumieją biernej postawy Ministerstwa Kultury, które nadzoruje PFN. – Ministerstwo mogłoby w kilka tygodni zlikwidować Fundację i zażegnać kryzys. Obecnie rządzący, będąc jeszcze w opozycji, obiecywali, że tak właśnie się stanie – mówi jeden z prezesów spółki, która zmuszona jest łożyć na PFN. Prosi o anonimowość.

Ministerstwo tłumaczy się, że likwidacja PFN jest niemożliwa. – W PFN trwają kontrole KAS i CBA, obecny zarząd Fundacji skierował zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez poprzednie

władze Fundacji do Prokuratury Krajowej. Nowy zarząd jest w trakcie odzyskiwania, na drodze sądowej lub mediacyjnie, środków, które w ocenie zarządu zostały niewłaściwie wydatkowane za poprzedniej kadencji. Postawienie PFN w stan likwidacji byłoby równoznaczne z zatrzymaniem tych procesów – słyszymy od Piotra Jędrzejewskiego, rzecznika ministerstwa.

Spótek ten rodzaj tłumaczenia nie przekonuje. – Pierwsze zawiadomienia do prokuratur poszły dokładne rok temu. Jeśli to tak opieszale działa, to dlaczego my mamy płacić za to rachunki – dodaje członek zarządu innej spółki.

Na 17 spółek, które założyły PFN, większość zdecydowała się nie płacić składki za 2025 r. Wyłamał się KGHM. Władze innych spółek uważają, że płacenie pieniędzy podmiotowi, który sam na siebie donosi do prokuratury o zmnatrowieniu 30 mln zł, jest dostatecznym argumentem, żeby nie przekazywać więcej ani złotówki.

(JULL)

Deregulacja na opak

Ta historia przypomina fabułę serialu sensacyjno-politycznego. Tymczasem to tylko polityka. Organizacje społeczne wygrały z resortem sprawiedliwości, a pomogła im w tym ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego. Ale po kolei. Najpierw alarm podniosły NGO-sy: „Rząd chce zakneblować organizacje społeczne”. Chodziło o pakiet ustaw zwanych lex Brzoska (od nazwiska szefa InPostu, przewodniczącego zespołu ds. deregulacji), a konkretnie o nowelizację ustawy o postępowaniu przed sądami administracyjnymi, która w proponowanym przez resort sprawiedliwości brzmieniu odbierała organizacjom społecznym prawo do skargi kasacyjnej w postępowaniach administracyjnych. Czyli uniemożliwiała im zaskarżanie wyroków wojewódzkich sądów administracyjnych do Naczelnego Sądu Administracyjnego. A przecież konstytucja gwarantuje obywatelom dwie instancje sądu.

Bez konsultacji publicznych i uzgodnień międzyresortowych – co uzasadniono „pilnością prac legislacyjnych” – nowelę skierowano do Komitetu Stałego Rady Ministrów. – To antydemokratyczny projekt sprzeczny z polskim, międzynarodowym i unijnym prawem – podkreśla Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot. – W dodatku wprowadzany przez

koalicję rządzącą, która do wyborów w 2023 r. szła z hasłami potrzeby przywrócenia zasad państwa prawa, naprawy procesu legislacyjnego, zapewnienia przejrzystości życia publicznego oraz wspierania organizacji trzeciego sektora.

Rezygnację z proponowanego zapisu zarekomendowała także Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Oburzenie było tym większe, że Ministerstwo Sprawiedliwości w uzasadnieniu proponowanej zmiany zapisało: najważniejszy jest „interes strony”. – A w przypadku zwierząt to często interes opiekcy – zwraca uwagę mec. Karolina Kuszlewicz. Z kolei w przypadku inwestycji kontrowersyjnej dla obywateli będzie to interes inwestora.

Awantura się rozkręcała, próbowano zatem stworzyć pozory „konsultacji”. Ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego **Adriana Porowskiego** zaprosiła wybrane organizacje na spotkanie. To tylko dołało oliwy do ognia. Niezaproszone NGO-sy oświadczyły: „I tak byśmy nie przyszli rozmawiać o tym, jak odebrać nam konstytucyjne prawa”. I przygotowały apel podpisany przez niemal setkę organizacji (m.in. Watch Dog Polska, Wolne Sądy, WWF, Greenpeace) z żądaniem wycofania kontrowersyjnego zapisu.

Poskutkowało. Ministra Porowska w ostatni piątek zakomunikowała w social mediach: „Ustawa deregulacyjna w obecnym kształcie nie będzie procedowana. I to jest odpowiedź na to, po co nam minister ds. społeczeństwa obywatelskiego”. (AS)



Jak prezydent z premierem

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15.



Ten ruch Karola Nawrockiego przesądzi o jego prezydenturze. Musi zdecydować o modelu czekającej go koabitacji z rządem. Termin pochodzi z języka francuskiego, w którym *cohabitation* znaczy współzamieszkiwanie i określa sytuację na szczytach władzy, kiedy prezydent i rząd są z przeciwnych obozów politycznych.

Polska koabitacja liczy już 36 lat. Szlak przecierali w latach 1989–90 komunistyczny prezydent Wojciech Jaruzelski i solidarnościowy premier Tadeusz Mazowiecki, notabene dosyć zgodnie ze sobą współpracując. Z czasem ukształtowały się dwa modele koabitacji: konfrontacyjny i kooperacyjny.

Coraz więcej wskazuje na to, że prezydent Nawrocki wybiera ten pierwszy scenariusz. Widać to w jego wypowiedziach, ostro atakujących rząd, a zwłaszcza jego szefa Donalda Tuska. Określenia takie jak „najgorszy premier Polski po 89. roku” brzmią wręcz prowokacyjnie, zwłaszcza że padają z ust człowieka, łagodnie mówiąc, o dość skromnym życiowym dorobku. O przygotowaniach do wojny świadczą też doniesienia o składzie prezydenckiej kancelarii, którą mają zdominować nie fachowcy służący państwu, lecz politycy PiS zaprawieni w partyjnych bojach.

Tymczasem dzieje naszych prezydentur nie zachęcają do koabitacji konfrontacyjnej. Najpełniejszą wersją tego modelu była wojna, którą w 2007 r., po wygranych przez PO wyborach parlamentarnych,

prezydent Lech Kaczyński wypowiedział rządowi Donalda Tuska. Rozwścieczony klęską brata bliźniaka i PiS-u prezydent starał się ugodzić przeciwnika jak najboleśniej, sięgając po swoją broń atomową, czyli wetowanie ustaw. Blokował też decyzje personalne. Kiedy i gdzie tylko można, syłał piach w tryby państwowej maszynarii.

Premier Tusk nauczył się neutralizować te ciosy i odpowiadać na nie równie boleśnie. O ile jednak Kaczyński atakował ostentacyjnie, o tyle on robił to w aksamitnych rękawiczkach, grając rolę ofiary prezydenckich ataków. Czynił to tak skutecznie, że po dwóch latach, w 2010 r., sondaże nie dawały prezydentowi szans na reelekcję. Co więcej, nawet w atmosferze żałoby po tragicznej śmierci prezydenta w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem występujący w roli jego spadkobiercy brat Jarosław przegrał wybory z Bronisławem Komorowskim.

Diametralnie inne były efekty koabitacji kooperacyjnej, która najpełniejsze kształty zyskała w latach 1997–2001, za prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i rządu Akcji Wyborczej „Solidarność”. Współpracę forsował prezydent, nie zważając na to, że druga strona stawia na zwarcie. Owszem, zdarzało się, że i Kwaśniewski podstawał rządowi nogę, czynił to jednak bardzo zręcznie, jak w przysłowiu: „Całą krew wypije, a dziurki nie zostawi”. Taka strategia dała prezydentowi w 2000 r. reelekcję, i to w pierwszej turze, co stanowi rekord niepobity do dzisiaj. Wojowniczy adwersarze z AWS ponieśli zaś w 2001 r. straszną klęskę, nie przekraczając progę wyborczego.

Karol Nawrocki zachowuje się tak, jakby dziejów urzędu, który przyjdzie mu pełnić, zupełnie nie znał. Czas pokaże, jak na tym wyjdzie.

Głowa w sądzie

Prezydent elekt **Karol Nawrocki** wystąpił przeciwko wydawcy portalu Onet: z pozwem cywilnym o ochronę dóbr osobistych oraz prywatnym aktem oskarżenia o zniesławienie. Onet informował, że Nawrocki dopuścił się czynów karalnych (nie opisując ze względu na dobre obyczaje). Kiedy prezydent wszczyna postępowanie – sytuacja arcyzadka – traktowany jest w sądzie tak jak każdy inny obywatel.

Inaczej byłoby w drugą stronę. Prezydent – gdyby mu zarzucano odpowiedzialność za zaginione katalogi wystawy, korzystanie z apartamentu muzeum oraz przejęcie kawalerki od Jerzego Ż. (a przecież prokuratury

badają te sprawy) – korzysta z szerokiego immunitetu: odpowiada tylko przed Trybunałem Stanu. Ale i ta odpowiedzialność jest czysto teoretyczna. Akt oskarżenia (ciekawe, czy znalazłby się jakiś szalony prokurator, który by go sporządził?) musiałoby zaaprobować Zgromadzenie Narodowe – czyli łącznie Sejm i Senat, większością dwóch trzecich głosów. Sprawa przeszłaby więc do świata polityki. A w nim takie większości polityczne po prostu nie występują. Nawet sam Trybunał Stanu jest instytucją martwą; do tej pory nie odegrał w praktyce żadnej roli. Na jego czele stoi dziś pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, która zajmuje określone stanowisko *par excellence* polityczne: po prostu nie uznaje istotnych orzeczeń sądów unijnych.

Po zakończeniu kadencji immunitet wygasa. W razie oskarżenia byłby prezydent byłby traktowany jak każdy inny podsądny. Jak zachowałby się sąd, gdyby oskarżony sądu unikał? Nie mieliśmy nigdy takich przypadków w Polsce, ale wiadomo, jak PiS zdewastował cały system prawny i z jakimi

najbardziej karkołomnymi orzeczeniami mamy do czynienia. We Francji po zakończeniu urzędów skazani zostali zarówno Jacques Chirac, jak i Nicolas Sarkozy – mimo że partyni koledzy dowodzili, że oskarżenia to polityczne prześladowanie. Prawo zwyciężyło nad polityką.

Dzisiaj to jednak polityka bierze prymat nad prawem. Prezydent Trump zaraz po objęciu urzędu ułaskawił ponad tysiąc sprawców ataku z 6 stycznia 2021 r. na amerykańską świątynię – Kapitol. Długoletnie śledztwo przeciwko samemu prezydentowi w sprawie podżegania do tego zamachu rozplynęło się w powietrzu. A przecież w ataku zginęli nawet stróże prawa, którzy tradycyjnie korzystali dotąd ze szczególnej ochrony. Formalnie prezydent miał prawo do tych ułaskawień (inaczej niż Andrzej Duda w sprawie Kamińskiego i Wąsika). Ale decyzje bardzo podważyły zaufanie do praworządności. Jak również do tego, że silna władza będzie postępować sprawiedliwie. Nie tylko w USA.

MARK OSTROWSKI





Teheran zapłonie

Groźba irańskiej bomby jądrowej znów stała się pretekstem dla izraelskiego ataku na Iran. Czy premierowi Netanjahu chodzi o zmianę władzy w Teheranie? Czy obronę swojej?

„Teheran zapłonie, jeśli nie ustaną irańskie ataki na Izrael” – powiedział w sobotę izraelski minister obrony Jisra’el Kac. Po tych słowach można by odnieść wrażenie, że to Iran zaatakował Izrael. A było dokładnie odwrotnie. 13 czerwca przed świtem ponad 100 izraelskich samolotów bojowych wleciało w przestrzeń powietrzną Iranu i zaatakowało wyznaczone cele. Jednocześnie Izraelczycy rzucili do ataku drony i rakiety krótkiego zasięgu, które wystartowały z ukrytych lokalizacji na terenie Iranu (w stylu podobnym do tego, w jakim Ukraińcy ostatnio zaatakowali rosyjskie bazy). I jednocześnie do akcji ruszyli agenci Mosadu działający w ukryciu na terytorium Iranu.

Operacyjne cele izraelskich ataków były trzy. Po pierwsze, zginęli w nich najwyżsi rangą irańscy oficerowie, m.in. szef sztabu gen. Mohamad Bageri i Husajn Salami, dowódca Strażników Rewolucji. Wszyscy oni bezpośrednio przed atakiem pochowali się w bunkrach, a mimo to dosięgły ich bomby, co świadczy o skuteczności izraelskiego wywiadu. Zginęło też co najmniej sześciu irańskich fizyków zaangażowanych w program jądrowy – tych Izrael dopadł we własnych domach, śmierć poniosły więc również ich rodziny i często sąsiedzi. Trzecim celem był podziemny ośrodek wzbogacania uranu w Natanz.

Celem strategicznym Izraela jest – bo ataki trwają, gdy w niedzielę piszemy te słowa – zablokowanie Iranowi drogi do bomby atomowej.

Premier Benjamin Netanjahu przekonuje, że to działania uprzedzające. I że będą trwały „tyle, ile będzie trzeba”, aby „uchronić Izrael przed atomowym Holokaustem”. Iran odpowiedział dopiero po kilkunastu godzinach – w sposób może ratujący twarz, ale przynajmniej na razie mało szkodliwy dla Izraela, choć po stronie izraelskiej też już są ofiary. Stąd słowa Kaca o płonącym Teheranie.

At teraz spójrzmy na sprawę z odwrotnej strony. Izrael dokonał niczym niesprowokowanej agresji na Iran (nie pierwszy raz), opierając się na poszlakach – a nie dowodach – związanych z atomowymi ambicjami Teheranu. Tu są dwie kwestie. Izrael czuje się „sprowokowany” od ataku Hamasu z 7 października 2023 r. – w tym przypadku zakłada sztywny łańcuch decyzyjny sięgający samego Teheranu. Znów nie ma na to dowodów, choć Irańczycy przez lata wspierali Hamas. Ta organizacja miała jednak własne powody, żeby zaatakować (nikt ich tu nie usprawiedliwia).

I sprawa druga, czyli program jądrowy. Iranowi trudno zaufać, bo przez lata kłamał w tej sprawie. Ale zgodnie z umową zawartą z mocarstwami (w tym ze Stanami Zjednoczonymi) w 2015 r. dopuścił inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) do ośrodków nuklearnych, a ci niczego złego tam nie stwierdzili. Iran nie przestrzega już tych postanowień, ale to dlatego, że „pierwszy” Donald Trump wycofał z niej USA. Niemniej jeszcze w marcu CIA twierdziła, że Iran nie zamierza budować bomby, a na kilka dni przed izraelskim atakiem IAEA poinformowała, że Iran przestał z nią współpracować, ale nie stwierdziła, że „jest o krok od budowy bomby”, co od przeszło 20 lat twierdzi Izrael.

Iran oczywiście nie jest tu bez winy. Oficjalnie twierdzi, że uran jest mu potrzebny do cywilnego programu jądrowego (produkcja energii elektrycznej). Ale jednocześnie wzbogaca go do niepotrzebnie wysokiego poziomu. Według ekspertów ta przemyślana dwuznaczność ma działać jak straszak na potencjalnych interwentów. Irańczycy są w traumie po dekadach kolonialnego

podporządkowania kolejnym państwom Zachodu, a dziś za jego eksporturę uważają Izrael. Swoją odrębną traumę ma sam teokratyczny reżim, przekonany – często słusznie – że Zachód spiskuje, aby go obalić.

Netanjahu się z tym nie kryje. Od kilku lat regularnie zwraca się bezpośrednio do Irańczyków, przekonując ich, że oba narody mają wiele wspólnego, dzieląc choćby przeszłość i niechęć do Arabów. Gra na zmianę władzy w Teheranie, twierdząc, że bez ajatollahów wszystko jakoś się ułoży. Ataki rozpoczęte w ostatni piątek doskonale wpisują się w tę narrację. Wśród zabitych irańskich dowódców byli głównie skorumpowani do cna zakładani mordercy, którzy nawet wśród niezaangażowanych w politykę Irańczyków budzili odrazę. Izrael wie, w kogo uderzyć, aby wzbudzić u wielu mieszkańców Iranu to niekomfortowe uczucie ulgi z powodu czyjejś śmierci.

Piątkowymi atakami Netanjahu „zabił” również rozmowy, które od kwietnia z Irańczykami toczyła amerykańska administracja. Tel Awiw i Waszyngton mają wspólny cel – nie pozwolić Iranowi na bombę. Inne są jednak ich drogi do jego osiągnięcia. Trump od lat obiecuje, że zakończy wszystkie „wieczne wojny Ameryki”. A ponieważ jest ponoć mistrzem zawierania dealów i potrzebuje zaangażować większe siły wokół Chin, od początku drugiej kadencji dążył do porozumienia z Teheranem. Wbrew Netanjahu, któremu „stan wojny” pozwala utrzymać władzę w Izraelu.

Trump publicznie prosił premiera Izraela o danie szansy negocjacjom. Ten jednak nie posłuchał, zaatakował, a Irańczycy odwołali kolejne rozmowy z Amerykanami. I prezydent USA jest teraz w kropce. Plany pokrzyżował mu najbliższy sojusznik, który w sprawach bezpieczeństwa jest uzależniony od amerykańskiej pomocy. Teraz, po fakcie, Trump udaje, że ma wszystko pod kontrolą – że taki był plan: Amerykanie rozmawiają, a jeśli brak postępów, to Izraelczycy bombardują. Ale to tylko ratowanie twarzy przez Trumpa – odruch bardzo charakterystyczny dla... Irańczyków.

ŁUKASZ WÓJCIK

Wyrok z podtekstem

Cristina Fernández de Kirchner, była prezydentka Argentyny (2007–15), została skazana na sześć lat więzienia za korupcję. W tym tygodniu ma rozpocząć odsiadkę... w swoim domu. Ma 72 lata i przysługuje jej taki przywilej. Sąd Najwyższy potwierdził wyroki niższej instancji i uznał Cristinę – jak ją poufale nazywają Argentyńczycy – za winną działania na szkodę państwa. Jej rząd przyznał kilkadziesiąt kontraktów w ramach robót publicznych zaprzyjaźnionemu biznesmenowi Lázaro Báezowi. Zdaniem sądu spłacał on „nienależnie uzyskane korzyści” poprzez fałszywe transakcje z firmami należącymi do Fernández. Wraz z nią skazano osiem innych osób, w tym rzeczzonego przedsiębiorcę. Według orzeczenia Cristina już nigdy nie będzie mogła ubiegać się o stanowiska publiczne.

Wyroki są zazwyczaj końcem jakiejś historii; tu – mogą być początkiem nowej. Na ulice Buenos Aires wyległy tysiące zwolenników byłej prezydentki – aktualnie liderki opozycji. Manifestacje stały się zarazem donośnym głosem przeciw ultraliberalnej polityce cięć wydatków socjalnych obecnego prezydenta Javierę Mileia. Wokół Cristiny zjednoczyli się wszyscy politycy z ruchu peronistów, także jej wewnątrzni rywale.

Peroniści twierdzą, że wyrok ma charakter polityczny, że padła ofiarą zmywy sędziów i potężnych interesów ekonomicznych, w które uderzała polityka jej oraz jej zmarłego w 2010 r. męża



Néstora Kirchnera. Przywołują oparty na fałszywych poszlakach i wydany z pogwałceniem procedur wyrok na prezydenta Brazylii. Skazany na 12 lat więzienia Luiz Inácio Lula da Silva – oskarżony w momencie, gdy był liderem sondaży w wyścigu prezydenckim – odsiedział półtora roku i uwolniony przez Sąd Najwyższy wygrał kolejne wybory w 2022 r. Na drodze prawnej Cristina ma jeszcze instancję międzynarodową – Sąd Praw Człowieka Obu Ameryk.

Kirchnerowie – najpierw on, potem ona – prowadzili egalitarną politykę, m.in. transferów gotówkowych dla ubogich, państwowych subsydiów cen energii i transportu, nacjonalizacji strategicznych przedsiębiorstw, rozliczeń zbrodni junty wojskowej. Ich rządy były częścią „różowej fali” w regionie, którą prócz nich i Luli reprezentowali, m.in. Hugo Chávez w Wenezueli, Evo Morales w Boliwii, Rafael Correa w Ekwadorze, Andrés Manuel López Obrador w Meksyku.

Nawet w domowym więzieniu Cristina pozostanie ważną figurą argentyńskiej polityki. Padają w tym kontekście porównania z Juanem Perónem, ojcem założycielem ruchu (1946–55), który – choć na wygnaniu przez 18 lat – miał przemożny wpływ na wydarzenia w kraju.

Na cztery wiatry

W Chinach opublikowano „regulamin walki z rozrzutnością” dla urzędników państwowych i kadr partyjnych z zaleceniem, że mają stanąć na czele powszechnej „operacji zaciskania pasa”. Zwykle takim kampaniom towarzyszy jakiś nagłośniony przykład negatywny – tym razem poszło o zebranie szkoleniowe w wiejskim kantonie Luoshan, któremu towarzyszył suty i zakrapiany posiłek, a jeden z uczestników zmarł. Incydent usiłowano ukryć, przekupiono rodzinę, ale się wydało i wszyscy odpowiedzialni zostali surowo ukarani.

Nowe zasady wprowadzają całkowitą zakaz picia alkoholu i palenia podczas takich posiłków, mają one być skromne, sporządzone z lokalnych produktów (a nie np. z pletwy rekina), co najwyżej „cztery dania i zupa”. Zabrania się ozdób kwiatowych i banerów powitalnych, uroczystych powitań na lotnisku, przesadnego tamowania ruchu przez kawalkady pojazdów, a samochody mają mieć skromne wyposażenie. Zebrania nie mogą się odbywać w kurortach i drogich hotelach, częściej powinny mieć formę zdalną. Partyjna Komisja



Centralna do spraw Dyscypliny ze szczególną ostrością zabrała się do alkoholu, to zresztą konik przewodniczącego Xi Jinpinga. Przestroga jest wyraźna: „Jeden drink to koniec kariery”. Ogłoszono też dane za 2024 r.: 889 tys. sankcji dyscyplinarnych, w tym wobec 73 osób „w randze ministra i wyżej”. Liczone są też wszystkie reprimendy, często z bardzo surowymi konsekwencjami, od początku epoki Xi w 2013 r. udzielono ich 6,2 mln. Wiele to efekt kolejnych czystek kadrowych.

Obecna kampania to w języku partyjnym „walka z czterema wiatrami:

formalizmem, biurokracją, hedonizmem i korupcją”. Zwykle takie inicjatywy są odpowiedzią na poważne problemy społeczne i mają tonować masowe niezadowolenie. Tak jest i teraz, gdy dają się zauważyć fatalne nastroje konsumpcyjne z równie złymi konsekwencjami dla gospodarki. Stąd paradoks: urzędnicy i działacze mają zacisnąć pasa, a całe społeczeństwo powinno jak najbardziej go popuszczać. Służą temu liczne rynkowe zachęty, ale idzie opornie.

Z kolei problem alkoholu w skali społecznej prawie rozwiązał się sam. Chiny trzeźwieją, a konsumpcja **baijiu**, tradycyjnego mocnego trunku, przeboju baniekietów, od 2016 r. spada o ponad połowę. Zanika też obyczaj przymusowego upijania się z szefami. Piwo, zabawowy napitek nr 2, największe wzięcie miało w 2013 r. i od tamtej pory konsumpcja ciągle spada. Wino, przebój nowobogackich Chińczyków, w ciągu pięciu lat straciło dwie trzecie rynku. Koniak zniszczyły sankcje. Istotna jest zmiana pokoleniowa. Młodzi wolą dopalacze na bazie kofeiny. Mieszkają z rodzicami, nie chcą mieć dzieci, mniej imprezują, bardziej się martwią o przyszłość. Jak wszyscy ich rówieśnicy.

Kwartet solistów

Po przyjęciu wotum zaufania rząd Donalda Tuska kupił sobie parę tygodni spokoju, ale sam premier nie wychodzi z tej operacji wzmocniony. Stracił sporo autorytetu w oczach swoich wyborców, koalicjantów, nawet macierzystej formacji. Czy zdoła jeszcze odwrócić złą passę?

RAFAŁ KALUKIN

„N

ie znam słowa kapitulacja” – to główne przesłanie Donalda Tuska z godzinnego sejmowego wystąpienia przed głosowaniem wotum zaufania dla jego rządu.

Powtórzone potem jeszcze w internetowym wpisie, żeby się utrwaliło w świadomości. Premierowi chodziło bowiem przede wszystkim o rozproszenie nastroju ogólnej klęski obozu demokratycznego, który zrodził się po przegranych wyborach prezydenckich. W przekazie Tuska to jednak dopiero przegrana bitwa, podczas gdy wojna o Polskę ciągle się toczy.

Ryzyko, że w elektoracie nastąpi swoista implozja nadziei, faktycznie było wysokie. Przed wyborami zwolennicy koalicji 15 października z wielkim trudem dopuszczali do siebie myśl, że Rafał Trzaskowski mógłby przegrać. Ich morale zostało więc pogruchothane, a dodatkowo pogłębiły to jeszcze powyborcze rozliczenia w obozie rządzącym. Odporność tych wyborców testowali z drugiej strony politycy PiS, którzy ruszyli do mediów z masowym komunikatem o najgorzej ocenianym rządzie III RP, który właśnie stracił demokratyczną legitymację.

Tusk musiał więc działać szybko, żeby zatrzymać rozlewającą się panikę. W takich sytuacjach sprawdzoną metodą jest wystąpienie do Sejmu o odnowienie wotum zaufania, z czego premier skorzystał. I zasadniczy cel zrealizował, gdyż koalicja zmobilizowała się w stu procentach, sprawnie uchwalając wotum i potwierdzając swoją żywotność. Tym sposobem osłabiony Tusk kupił sobie parę tygodni względnego spokoju. Choć bilans operacji wcale nie jest dla niego aż tak pozytywny, a być



może po drodze więcej nawet stracił. Z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić w tych dniach na bierność, zaniechanie działania byłoby jeszcze kosztowniejsze.

Pod presją koalicjantów

Autorytet szefa rządu w oczach koalicjantów poważnie się skruszył. Można wręcz było mówić o buncie „przystawek”, których liderzy już całkiem otwarcie zakwestionowali dotychczasowe jedynowładztwo premiera. Grożąc, że jeśli Tusk nie zacznie się z nimi liczyć, gotowi są wypowiedzieć mu lojalność. Premier sam zresztą podpisał rebelię, nie konsultując z partnerami wniosku o wotum zaufania.

Zależało mu na szybkim głosowaniu, ale marszałek Sejmu Szymon Hołownia przesunął o tydzień proponowany termin. Przy ci chej aprobacie liderów PSL i Lewicy, bo chociaż mniejsi koalicjanci między sobą najczęściej się kłócą, akurat tym razem połączył ich wspólny cel. Natarli na Tuska, żądając zmiany w dotychczasowych relacjach i wprowadzenia modelu bardziej partnerskiego, w którym nie będą już zaskakiwani samowolnymi akcjami szefa.

Zdezorientowanej publiczności zafundowano deprymujący spektakl wzajemnego szarpania się w mediach. Ze szczególnie aktywnym Hołownią w roli głównej, który nie tracił żadnej okazji



do chybotań łódką, co chyba było jego celem samym w sobie. Obok postulatów niekiedy sensownych podrzucał też bowiem skrajnie nierealistyczne, których najwyraźniej sam nawet nie brał poważnie.

Jak choćby w ubiegły poniedziałek u Moniki Olejnik w TVN24, kiedy oświadczył, że na czele rządu powinien stanąć Trzaskowski. Akurat w tym czasie miało się zacząć spotkanie rady liderów koalicyjnych, więc pozostała trójka czekała na przybycie szefa Polski 2050, zastanawiając się, jak też Hołownia rozwinie dalej swoją koncepcję. Tymczasem spóźniony marszałek miał wejść jak gdyby nic i nawet nie nawiązał do tematu.

Było to już zresztą kolejne spotkanie w tym formacie po jego wielomiesięcznym zawieszeniu. Tym razem dyskutowano o planowanym na środę wystąpieniu szefa rządu w debacie nad wotum zaufania. Główna fala koalicyjnych pretensji do Tuska wylała się już wcześniej, co premier najwyraźniej wziął sobie do serca. Zgodził się bowiem ująć w swojej sejmowej oracji po dwa punkty podrzucone mu przez każdego z koalicjantów. Ci jednak do samego końca nie mieli pewności, czy Tusk umowy dotrzyma.

I jeżeli potraktować to jako test jego dobrej woli, został zaliczony. Nieprzypadkowo, realizując koalicyjne zamówienia, premier za każdym razem dyskretnie obracał się na trybunie sejmowej

w stronę odpowiedniego lidera, spoglądając mu prosto w oczy. W godzinowym wystąpieniu były to co prawda fragmenty marginalne, których szeroka publiczność mogła nawet nie wychwycić, niemniej dla koalicjantów kluczowe. W końcu doczekali się od szefa rządu imiennych pochwał: Polska 2050 choćby za wakacje składkowe w ZUS, Lewica – za program budowy tanich mieszkań na wynajem.

Jedynie PSL było trochę niepocieszone, gdyż zgłoszone przez Władysława Kosiniaka-Kamysza wydatki na bezpieczeństwo zostały już „skonsumowane” przez Tuska w zasadniczej części wystąpienia, a o rozwijaniu kultury narodowej premier już nie wspomniał, gdyż nie dostał od ludowców żadnego konkretnego. Kiedy jednak odpowiadał później na poselskie pytania, skorzystał z okazji i nadrobił zaniechanie.

Zarazem premier ustąpił też koalicjantom w sprawie powołania rzecznika rządu. Był to postulat oficjalnie forsowany głównie przez Hołownię, chociaż kciuki trzymały wszystkie mniejsze partie. Do tej pory to Tusk bowiem ogłaszał istotniejsze rządowe projekty, automatycznie stając się ich twarzą. I to niezależnie od tego, z którego resortu wychodziły i czyją wyborczą obietnicę realizowały. Toteż małuchy woła, żeby takie sprawy komunikował rzecznik, którego pozycja polityczna będzie już dużo słabsza, ►